



## Mieczysław Kurek

## część I z II

Sygnatura notacji: **N1178**

Data urodzenia: **17.11.1928 r.**

Data nagrania: **30.05.2017 r.**

Miejsce nagrania: **dom letniskowy świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/ rozmowę: **Rafał Pękała**

Czas nagrania: **część I: 64 min, część II: 69 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[POCZĄTEK NAGRANIA 00:00:00]

**Rafał Pękała:** Panie Mieczysławie, proszę się przedstawić, proszę powiedzieć, kiedy i gdzie się pan urodził.

**Mieczysław Kurek:** Dobrze. Urodziłem się 17 listopada 1928 roku na Polesiu. Wtedy była taka miejscowość Ome-linka, której teraz nie ma, bo to była taka osada, bo po wkroczeniu wojsk Czerwonej Armii...

**Rafał Pękała:** Zanim pan powie jeszcze o Armii Czerwonej, panie Mieczysławie, jeszcze proszę opowiedzieć o swoim tacie, o ojcu proszę opowiedzieć i o mamie, dobrze?

**Mieczysław Kurek:** Ojciec był rolnikiem, w sensie, że miał ziemię, pięćdziesiąt hektarów, osiem lasów, no i bagien, błot. Miał krowy, chyba z piętnaście krów czy dwadzieścia, nie wiem dokładnie, trzy konie, no i świnki, i gospodarzył na tym. I 5 października...

**Rafał Pękała:** A wcześniej co robił, bo był legionistą.

**Mieczysław Kurek:** Służył w wojsku. Ja dokładnie nie znam przebiegu służby, bo ojciec nigdy się nie chwalił, ale mam zdjęcie, mogę pokazać.

**Rafał Pękała:** Dobrze.

**Mieczysław Kurek:** Mam tu zdjęcie.

**Rafał Pękała:** Dobrze, to później pokaże nam pan zdjęcie?

**Mieczysław Kurek:** Tak, pokażę to zdjęcie.

**Rafał Pękała:** Ale wie pan, że walczył w 1920 roku?

**Mieczysław Kurek:** Tak, no ze zdjęcia wynika, że służył w tym czasie. I 5 października trzydziestego dziewiątego roku, w południe, przyjechał ciężarowy samochód. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem czapki z gwiazdami, z tymi słynnymi otokami enkawudzistów. Ojciec przerwał młócenie, ja poganiałem konie oczywiście w kieracie. Ojca wzięli do pokoju, a mieliśmy dom składający się z kuchni i trzech pokoi, drewniany, bez żadnego światła, nie było wody, nic, no bo to na Polesiu było. Po kilku godzinach ojca wyprowadzono, trochę się umył, bo był zakurzony, wyprowadzono do samochodu, posadzono na dół, na ciężarówce, tak że tylko głowę mogliśmy zobaczyć, ojciec pomachał i tak go ostatnio widzieliśmy. Tak go zapamiętaliśmy.

**Rafał Pękała:** Czy ojciec coś powiedział?

**Mieczysław Kurek:** Nic nie powiedział, absolutnie. I mama jeździła, bo wiedziała, że jest w Brześciu. Co miesiąc można było dać paczkę żywnościową. Nie wiem, co tam w tej paczce było, matka tę paczkę żywnościową wzięła. W styczniu przyjechała z Brześcia, zabrała nas czwórkę - trzech synów i siostrę najmłodszą - i mówi: „Kochane dzieci, paczkę przywozłam. Dyżurny enkawudzista na biurze przepustek powiedział: Jemu użę niczewo nie nada”. Myśmy trochę znali ten język białoruski, zrozumieliśmy dokładnie. Matka zaczęła płakać, my też, bo powiedziała, o co chodzi. No i nota bene dodam, że ja zwracałem się do władz radzieckich i białoruskich teraz, że już nie chcę żadnego wyroku, nie chcę żadnego odpisu. „Powiedzcie, wskażcie mi tylko miejsce, gdzie pochowany, czy ten dół, gdzie go zakopaliście, żebym mógł pojechać, złożyć kwiaty, zapalić znicz”. Tak z jednego miejsca, jak i drugiego, od władz jednych i drugich identyczna odpowiedź: nie natrafiono na żadne dokumenty dotyczące Czesława Kurka, syna Jana i tego, no i tak ojca nie było. W tej sytuacji mama, żyjąc wśród Białorusinów, dobrzy to byli ludzie, nawet po wojnie spotkałem jednego z nich, i kobietę. Ba, po tylu latach, po siedemdziesięciu latach poznali mnie, że ja nazywam się Kurek. Żegna się inaczej...

**Rafał Pękała:** Prawosławna?

**Mieczysław Kurek:** „Bożesz ty mój, ty Kurek!”, takie tam, kobieta starsza, i ten drugi też, Maksym nazywał się. Grabie robił takie drewniane, jak zobaczył, że ja wszedłem, rzucił te grabie - starszy pan, brał udział nota bene w wojnie II, bo opowiadał mi, że w Zielonce stacjonował, pod Warszawą - rozplątał się Białorusin, no i zaczął opowiadać tam. A obok mieszkał również Polak, nazywaliśmy go „Amerykaninem”. Dlaczego? Bo brał udział w I wojnie światowej, ze Stanów wrócił, miał jakieś pieniądze - nie wiem, ja się nie orientowałem - kupił tam tę ziemię, ale jego nie dotyczyli. Co się później dowiedziałem od mamy, powiedzieli ci Białorusini mamie, że on opłacał partię tę komunistyczną,

WKPB, Białorusi, tam ileś rubli miesięcznie, i do niego, jak wojska te radzieckie [weszły], najpierw Niemcy przyjechali, najpierw tam wstąpili Niemcy, to Niemców też widziałem, to tam przyjeżdżali do tego „Amerykanina” i tam nic nie ruszyli, nic - ani konia nie zabrali, nic, nic. I później ten „Amerykanin” wyjechał do Ameryki i ślad po nim [zaginął], nikt z nim nie miał łączności. Może tam jego dzieci żyją.

**Rafał Pękała:** To ten Omelik to była...

**Mieczysław Kurek:** I teraz mama, nie mając wyjścia, powiedziała nam: „Wyjeżdżamy stąd. Tutaj będzie dla nas niebezpiecznie” i cała czwórka i matka, wóz taki, ten Białorusin nas zawiózł do Brześcia, no to [wzięliśmy], co dało się załadować na ten wóz.

**Rafał Pękała:** A to była wasza decyzja, mamy decyzja? Nie kazali wam wyjechać?

**Mieczysław Kurek:** Mamy decyzja. Nikogo więcej nie było. Zawieźli nas do Brześcia i stamtąd przez Czeremchę. W Czeremsze, pamiętam, była przesiadka z kłopotami, do dziś to pamiętam. Zajechaliśmy do Siemiaty, czyli Siemiatycz, zabrali nas ludzie - dobrzy ludzie - tam do rodziny mojego ojca, do dziadków, do Jana Kurka, i tam jeszcze było jego dwóch synów, córka. Trzech synów, córka. On tam miał chyba dwadzieścia pięć hektarów, a najmłodszy brat pojechał do rodziny matki znów, do wujków, no bo czwórka przy jednej rodzinie to ciężko byłoby wyżywić. No i tak byliśmy w czterdziestym roku, chodziłem do szkoły w Drohiczynie nad Bugiem do czterdziestego pierwszego.

**Rafał Pękała:** Co to była za szkoła?

**Mieczysław Kurek:** To było gimnazjum i liceum. Tam język rosyjski był, to przed wojną to była [szkoła] im. Józefa Kraszewskiego i teraz ona jest Kraszewskiego. To liceum ogólnokształcące. I w czterdziestym pierwszym roku, 20 czerwca, matka mnie budzi. Pamiętam ten strach. Doczekaliśmy się na Sybir. Ja specjalnie nie rozumiałem tam za dużo. Wszedł enkawudzista: Zabierajcie, a już na podwórku stały zamówione przez enkawudzistów podwozy tak zwane, miejscowi gospodarze byli zamawiani z końmi, z wozami, żeby tych przeznaczonych do wywiezienia na Syberię zawieźć do Siemiatycz, tam na dworzec kolejowy. No i tak zbieraliśmy się, my tam za dużo nie mieliśmy i do Siemiatycz. Siemiatycze, ten dworzec kolejowy był troszkę za miastem, może teraz połączony, nie wiem, no i, proszę pana, wagon nr 5. Wchodzimy, tam są takie z jednej strony nary, takie prycze i druga półka - to dla młodszych po drugiej stronie, tylko jedna prycza, a na środku otwór okrągły, gdzieś taki wielkości głowy mojej. Nie wiedzieliśmy, do czego to służy. No i zaczęliśmy się ładować, wnosić, wrzucać to. Nie wiem, ile tam osób było, chyba dwie rodziny, z jednaście osób chyba. Dokładnie nie powiem. Mogę powiedzieć, kto z mojej rodziny: brat ten młodszy ode mnie nie pojechał, bo był u rodziny wujka, u rodziny matki, a ich tam nie ruszali stamtąd, bo to inna wieś, dziesięć kilometrów, tylko nas trójka - starszy brat, ja, siostra i mama, i przywieźli jeszcze matkę matki mojej, siedemdziesięcioletnią kobietę, samotną - synów zostawili, a ją przywieźli, nie wiem dlaczego. No i, proszę pana, w wagonie, i tu doznaliśmy upodlenia ludzkiego. Zamknęli [nas], no i chce się. Pamiętam, siostra mówi: „Mamo, mamusiu - czy mogę mówić tak? - chce mi się kupę”. Mama mówi: „Nocnika przecież nie mam. Czeka, może otworzą”. Stuka, a enkawudzista mówi: „Tam macie otwór, ale jeszcze nie można, bo pociąg nie ruszył”. Pojezd nie torył. No i teraz przekonaliśmy

się tego upodlenia ludzkiego. Coś straszego. Proszę pana, otwór i nic więcej, ani gdzie się czego trzymać, ani za kogo się schować, a przecież myśmy byli dziećmi, a dziadek był, babcia była ze strony ojca, prawda? Ze strony matki babcia też była, ta, o której mówię. No to początkowo to zastaniali tam, córka zastaniała babcie swoją, no ale później mieliśmy te rzeczy, worki i te inne, to stawiali wokoło tego jednego otworu, żeby się załatwiać. Ale wie pan, pociąg jak rusza, muszę powiedzieć to otwarcie: nie trafi się zawsze, trzęsie. Ten otwór był brudny. Wody nie ma, otwór się nie zamyka, no to tam znaleźli jakieś takie większe coś, jakieś płótno, zastaniali, żeby to powietrze, jak pociąg jedzie, nie dmuchało, bo to było zabrudzone w kale, prawda? I tak to, proszę pana, było, nie wiem ile, ale chyba... nie powiem panu, nie pamiętam, kiedy, ale gdzieś w połowie lipca wylądowaliśmy w Nowosybirsku. Powiem jeszcze, co w czasie podróży. W czasie podróży pierwsze spotkanie było w Mińsku. Nie wolno było otwierać [okien] w wagonie towarowym, nie wiem, czy pan wie, są takie okna wąskie i kraty, i one na zaszczepki takie zamykane albo otwierane, bo jak przewozili bydło, czy tam świnie, czy coś, no to musiały być otwarte, żeby się to nie udusiło. To jak wjeżdżaliśmy na stację to był taki z ich strony rozkaz, przykaz, że to trzeba zamykać te okna, bo w czasie podróży te kratki mogły być otwarte. W Mińsku pierwszy raz mama otworzyła tę kratę, żeby zobaczyć, co jest w Mińsku, bo huk już był, bombardowania się okazało - Niemcy bombardowali Miński, ten białoruski. Chodził po peronie Żyd - ja go nie widziałem, mama rozmawiała. Po polsku rozmawiała, no i ten Żyd mówi: „No, dobrze wam tak tym fabrykantom wszystkim, dobrze wam tam pomieszczycam - znaczy obszarnikom - dobrze. Was nauczą rozumu”, no to mama tam zaczęła jemu coś odgadywać w sposób taki brzydki: „Ty parszywy...”, no i w pewnym czasie bomba spadła niedaleko tego i ten Żydek został ranny. Zaczął krzyczeć, ktoś go tam zabrał, nie wiem, gdzie. Nie widzieliśmy. Enkawudzystów nie widzieliśmy, bo ich wagon był ostatni, ich tam chyba było ośmiu. Ich wagon był ostatni. W czasie podróży to znów była druga gehenna - albo stał gdzieś na stacji pociąg albo nie, bo w drugą stronę jechało wojsko, poborowi jechali na front, znaczy po cywilnemu. Pijane to towarzystwo niesamowicie: śpiewali, krzyczeli, a w tę jechaliśmy my. Na którejś stacji drzwi się otwierają, Enkawudzista mówi: „Kto tu jest najbardziej sprawny?”, ja mówię po polsku, mogę mówić po rosyjsku, ale...

**Rafał Pękała:** Proszę mówić po rosyjsku.

**Mieczysław Kurek:** ...spróbuję po polsku. No mówię, że ja. „To wy będziecie dyżurnym, odpowiadali za ten wagon. Jak ja będę wzywał, to macie się zgłosić i wy będziecie wyznaczać tych, co będą chodzili po kipiatak” - kipiatak to jest, wie pan, woda gorąca, przegotowana. Po kipiatak. To ten mówi, a to był akurat mój stryjek, najmłodszy syn babci, dziadków, mówi: „Ale nie mamy wiadra”. „Macie jakieś kubki, to wam wystarczy”. Mówi: „Ale tu trzeba czasami wymyć - jak to ten stryjek powiedział - ubornaja” - „uborna” to znaczy „wychodek”, tę dziurę. „Nikt wam nie będzie mył tego”, no ale czasami tam pozwolili jakąś większą ilość wody, tam oni nawet dali. Pamiętam, raz przed Uralem, bo Ural to piękne góry, wie pan, odsłonił mi te kratki i oglądaliśmy. W Penzie też było ładnie, to miasto takie, Penza - też mogliśmy oglądać. Wie pan, to przed Uralem kobiety poprosili, enkawudziści powołali kobiety, żeby poszły po sup, po zupę. No i przyniosły tę zupę - dobra zupa była, bo człowiek nie jadł gdzieś tam, pamiętam, jakieś buraczki były czerwone, coś tam inne, ale człowiek z przyjemnością zjadł, bo już przeszło tydzień czy może więcej nie jadł, i później drugi raz jeszcze przed Uralem zupę jakąś dali, to pociąg stał. Nigdy nie stał na stacji, przed stacją. Pobierał wodę tam parowóz, no i za Uralem nas też chyba karmili dwa razy, znaczy zupę jakąś dali, no i ten kipiatak, ale żeby ironia losu to ten kipiatak to była zimna woda, prawdopodobnie przegotowana, bo oni trochę też

może i bali się, bo oni tam przestrzegali jakichś tam dyzenterii czy czegoś innego, a wiem później na Syberii, jak to było. Wie pan, no i przychodzi taki dzień, rano, odsuwają się drzwi: Wychaditcie wsie! „Wychodźcie wszyscy”. No i wychodzimy. Proszę pana, było takie podwyższenie, jak to na tych dworcach towarowych, ale starsi ludzie to się wywracali. Patrzyłem na takich z innych wagonów, a tych wagonów nie pamiętam, ile, chyba było z osiem czy może więcej, z ludźmi wywiezionymi, to wywracali się, nie mogli chodzić. Nogi im odmówiły posłuszeństwa. No ja akurat się nie wywróciłem.

**Rafał Pękała:** Bo nie pozwalali w ogóle wychodzić wcześniej?

**Mieczysław Kurek:** W czasie jazdy nikt nie wychodził przez cały czas. Znaczy tylko za tym kipiatak albo jak po zupeł.

**Rafał Pękała:** Ale to tylko niektórzy mogli wychodzić?

**Mieczysław Kurek:** Proszę?

**Rafał Pękała:** Tylko niektórzy mogli wychodzić?

**Mieczysław Kurek:** Tak, tak, oczywiście. Ci wyznaczeni, tam to absolutnie nie.

**Rafał Pękała:** A w tym wagonie, w którym pan był, jak dużo osób było? To znaczy, czy było dużo miejsca?

**Mieczysław Kurek:** No, przykładowo, dziadek, miał chyba siedemdziesiąt siedem czy osiem, babcia też w pobliżu tego, no a najmłodsze to była chyba tego Maćkowiaka córka, chyba miała osiem lat czy siedem.

**Rafał Pękała:** A ile było osób?

**Mieczysław Kurek:** Wie pan, tak się zastanawiałem. Prawdopodobnie gdzieś koło dwunastu osób, no i te rzeczy wszystkie te, jak oni nazywali: wieszci.

**Rafał Pękała:** Ciasno było czy było trochę miejsca?

**Mieczysław Kurek:** Niesamowicie. Niesamowicie było, ale to jeszcze można było wytrzymać. Najgorsze to zafatwanie, trzeba było, wie pan. Ja to przeżywałem, ja, dzieciak. A ja przecież przed wojną nie znałem pojęcia jakiejś tam... Mieliśmy pod domem tak zwaną sławojkę, wie pan, daleko, jakieś trzydzieści metrów od domu, wody gorącej, żadnej wody nie było, studnia była. Myśmy byli przyzwyczajeni, a skoro już [mówimy] na ten temat, to taka mała dygresja: była z nami na Syberii rodzina litewska spod Wilna gdzieś, bardzo kulturalna, elegancka pani, ładnie ubrana, te dzieci takie czyściutkie. W ciągu roku wszyscy zmarli, nie wytrzymali klimatu.

**Rafał Pękała:** Już na Syberii?

**Mieczysław Kurek:** Na Syberii.

**Rafał Pękała:** Czy w czasie podróży ktoś zmarł?

**Mieczysław Kurek:** Nie, tego nie wiedziałem, tego nie słyszałem, ale jak przyjechaliśmy na Syberię, to chyba po jakimś [czasie] - ale zaraz opowiem o Syberii - to jakiś [pan], nazywał się... pamiętałem, ale już [zapomniałem]. Ja sobie zaraz przypomnę. Po dwóch tygodniach zmarł, a pamiętam dlatego, że urządzili mu pogrzeb taki polski - pamiętam, zrobili taką trumnę, [skrzynię] podobną do trumny zbili i „Niech ta ziemia polska - mieli ziemię z Polski, na tę trumnę rzucili - lekką ci będzie”. To dziadek mój mówił. „Lekką ci będzie”. No i śpiewali pieśni nabożne takie. Nawet książeczki modlitewne babcia miała, takie małe, przed wojną. Nie wiem, czy pan wie, [były] takie małe - tam i litanie były wszystkie, do Matki Boskiej Loretańskiej, Ostrobramskiej, nabożeństwa majowe i inne. Sekuła nazywał się, Sekuła, ale to już był pan, który gdzieś tak, może, nie wiem, ile, z pięćdziesiąt lat miał. Nie wiem, ale on był jakiś samotny, ale wiem, że taki był [pogrzeb], że płacz, wszyscy płakali.

**Rafał Pękała:** I on zmarł już na Syberii?

**Mieczysław Kurek:** Zmarł i tak go zasypali. Jak opuszczaliśmy ten kołchoz i te Pristanskoje, to tam nawet poszliśmy wszyscy. Tylko takie zniesienie było, nie było śladu. Oni tam nie przywiązywali do tego wagi. Tak, i to jest, proszę pana, i teraz Nowosybirsk.

**Rafał Pękała:** Tak, w Nowosybirsku. Tam otworzyły się drzwi, tak?

**Mieczysław Kurek:** I, proszę pana, moje wrażenie: patrzę - woda. Do starszego brata mówię: „Tadek, popatrz, to morze. Nad morze nas przywieźli”, a to była potężna rzeka, i obok na tej rzece - o pieronie, ile osób, stoi duży statek pasażerski, „Feliks Dzierżyński”, po rosyjsku napisane. Ja znałem rosyjski, w Drohiczynie się uczyłem nawet, zresztą na Polesiu też. Feliks Dzierżyński. No i jak nas wyładowali z tego wagonu, był taki władarz, te parowozy brały. Wszyscy zaczęli tam bieć, myć się - przecież nie myliśmy się w czasie podróży. Kazali się wracać, bo raczej kobiety się myły tam. Nas zabierali dzieciaków. No i później ci enkawudziści taki szpaler zrobili, przyszli jacyś też robotnicy i te wieszci... rzeczywiście nic nie zginęło, nic. Na ten statek [wsiedliśmy], do tego statku „Feliks Dzierżyński” i pod pokład wszystkich. Nic tam na wierzchu, pod pokład. „Feliks Dzierżyński”, sygnał, ruszył i w górę oby, tym „Felixem Dzierżyńskim”. Nie wiem, ile płynął, po pewnym czasie... chyba noc tylko była, a rano kazali nam się wyładowywać. Rzeka była, miejscowość Parabiel - jest na mapie nawet - i rzeka Parabiel, i kilka rodzin na mały statek, jak oni nazywali katir - to jest jaki mały stateczek, tam kilkanaście osób wchodziło. Nas tam załadowali i tą rzeką Parabiel [popłynęliśmy] już wśród tajgi, po prawej stronie, po lewej, wszędzie lasy te połamane. Upał niesamowity, i, proszę pana, ta cholerna syberyjska meszka. Coś strasznego. Coś strasznego, wszędzie panu wejdzie, piecze to, kurczę. Nie byliśmy przygotowani do tego, no ale to jeszcze... Po kilku godzinach ten statek się zatrzymuje, wysiadamy, a enkawudziści ci sami, którzy w Siemiatyczach nas ładowali.

**Rafał Pękała:** Ci sami?

**Mieczysław Kurek:** Ci sami. Nikt się nie zmienił.

**Rafał Pękała:** A poznał pan ich?

**Mieczysław Kurek:** Oczywiście, no przecież.

**Rafał Pękała:** A z imienia i nazwiska pan ich poznał?

**Mieczysław Kurek:** Nie, tego nie pamiętam. To w Drohiczynie był na tej zastawie, na pograniczu, taki Szostakow. Kawal łobuza był, ale zostawmy [ten temat]. No i wyszliśmy na brzeg, wyładowaliśmy się, patrzymy - jakieś domki stoją, jakiś koń tam idzie, ktoś wiezie beczkę wody, a to tak zwany był... wodę woził, wodowóz, jak oni nazywali. Wodę się pobierało z rzeczki tej, nie było żadnych studni nigdzie. No i mama się pyta tego enkawudzisty: „No, a gdzie będziemy żyć? Gdzie żywiom, gdzie dom, kakoj tam?” pyta, a on tak: A, ha, ha, ha, ha. Tajga balszaja, Rassija ogromnaja. Zakpił sobie beczelnie. Mama się rozplakała, mówi, że ma dzieci. My tożę jemiejem rebionki. „My też mamy dzieci”. No ale zaraz przeszli, przyszedł jakiś tam przedstawiciel kołchozu, nie wiem, kto to był, a były trzy rodziny. I przydzielili nam taką ziemiankę, tak dobrze urządzoną - to znaczy polegała na tym, że z dwóch stron obsypane jest ziemią, z dwóch stron, wejście nie, i tam gdzie okno, to tylko do okna ziemia jest, i w rogu stała, znaczy były też takie zrobione z desek grubych takich prycze, z jednej i drugiej strony, że można było tam położyć i w samym rogu stała burżujka. Wie pan, co to burżujka?

**Rafał Pękała:** Niech pan powie, co to burżujka.

**Mieczysław Kurek:** Burżujka to piecyk taki, no a to u nich bardzo ładna sprawa, priorytetowa. I to była bardzo wygodna, bo miała trzy takie krążki. Bardzo wygodna, wydajna, szczególnie zimą to bardzo przydatna była, tak że można było się ogrzać przy niej.

**Rafał Pękała:** A w tej ziemiance kto mieszkał? Kto mieszkał w tej ziemiance, pan i pana rodzina, czy jeszcze ktoś?

**Mieczysław Kurek:** Znaczą moja rodzina i dziadka rodzina, nikogo więcej, a ci inni tam w innych mieszkali, a drudzy zostali przeniesieni, bo to był posiołek, nazywał się Pristanskoje, a po drugiej stronie, on jest nawet na mapie turystycznej, a po drugiej stronie Nowikowo.

**Rafał Pękała:** A ten kołchoz był w Pristanskoje?

**Mieczysław Kurek:** Tam, gdzie myśmy byli, to był kołchoz Zawietyj Lenin, a po drugiej, jak się nie mylę, mogę się mylić, Krasnyj Oktiabr. „Czerwonij październik”.

**Rafał Pękała:** Czyli były dwa kołchozy, tak?



**Mieczysław Kurek:** To były po jednej i po drugiej, tak, to dwa. To były dwa, tak.

**Rafał Pękała:** Krasnyj Oktiabr? Tak się ten drugi...

**Mieczysław Kurek:** Czerwony październik, jak się nie mylę. Wie pan, mogę się mylić, bo to...

**Rafał Pękała:** To ile tam ludzi pracowało?

**Mieczysław Kurek:** No trudno mi, wie pan, [powiedzieć]. Ja mogę powiedzieć, jak później pracowałem przy rwanu Inu, to było od kołchozów oddalone o jakieś dziesięć kilometrów, to oni mieli takie budynki, nazywały się kulstan - nie wiem, dlaczego. Tam po jednej i po drugiej stronie były nary - prycze, i przed domem też taka stała burżujka, piec, gdzie tam gotowali. Jak w kołchozie się pracowało, to dostawało się trzy razy dziennie jedzenie: śniadanie, obiad i kolacja - kromka kirpicha tak zwanego, kirpich to po rosyjsku „cegła”, bo to tak jak u nas jest chleb podobny do cegły, to kromka takiego chleba i jakaś zupa. W obiad czasami były kartofle takie pogniecione, smaczne to było. Proszę pana, kolacja też. Co się w nocy działo tam, no to tam same kobiety prawie były, i to starsze, było dwóch z frontu, co wróciło. Jeden to miał tak obciętą rękę, a drugi coś z nogą miał. Nie będę tego mówił, bo jest nagrywane, ale to widziałem po raz pierwszy życiu, stosunek mężczyzna i kobieta... tam się... ale to nie o to chodzi. Proszę pana, nigdy nie zapomnę - marzyłem o tym - jak wrócę do Polski, żebym się najadł do końca chleba. Mówię panu. Mama, jak było koszone zboże, po zbożu zbierała kłosa. Na polu kołchozowym, nieduże pole było. Wiedziała, że oni tam nie są tak bardzo przychylni tym piersiedatiel kołchoza, zrobiła sobie takie spodnum, czy tam miała, już nie wiem, i to wsadzała w to i przynosiła do domu, na tę burżujkę, suszyła, później wycierała na kamieniu i dawała nam jeść z tego. No i tam doszukali się ci... piersiedatiel, a ten enkawudzista cały czas nam te dwa posiłki [dawał] - jeden był, tylko chyba jeden, ja już dobrze nie wiem. Zabronili tego, to mówi: „Kazionne, państwowe. Nie wolno”. Mama mówi: „To nie jest kazionne, to nie jest sowchoz” - bo sowchoz to jest państwowy, a kołchoz to kolektywne. To tak jak u nas, spółdzielnie. No i trzeba było ukradkiem zbierać te [kłosa], matka zbierała. No i tak się stało, przyszła zima. Mieszka- liśmy w tej ziemiance, ciepło było, ale wdały się wszy. Latem jeszcze trochę tam było, ale zimą było gorzej. Zimą nosiło się koszulę, mróz to mroził, ale chyba tam wiele zostało, bo po paru dniach znów. Latem wynosiło się koszule, były takie koło nas trzy mrowiska. W jednym mrowisku były jakieś specjalne mrówki, i jak tam się zaczęło koszule z gnidami kłaść, to tam po jakimś czasie ta koszula pachniała - nic tam nie było, wszystko było zjedzone, a w tych drugich dwóch mrowiskach nie. To jest ciekawe zjawisko. I myśmy tam powiedzieli, to wszyscy Polacy tam przynosili, ten, który miał te wszy. No przecież mydła nie było, mydło skończyło się, nie wiem, po jakimś czasie. No i mrówki jedne, a były trzy mrowiska, to jedne karmiły się tymi [gnidami], widocznie im to smakowało. No i, proszę pana, po zimie przyjechał delegat, bardzo elegancki, motorówką, tylko że Polak - z taką bródką, ładnie ubrany, i mówi, jakieś dokumenty miał pamiętać, dużo dokumentów, takie białe papiery - to to pamiętam. Mówi: „No ja was mam tu wszystkich na spisie, ale sprawdź”. No i sprawdził, zebrał nas wszystkich i mówi tak: „Proszę państwa - pamiętam to - proszę państwa, w ciągu miesiąca będziecie już poza granicami, w Palestynie. Trzeba wziąć to, to, to. Przyjdzie po was statek”. Zaczęli wszyscy rzucić się na tego człowieka, całować go, wie pan? Zabawa była, przewrócił się - taki starszy już facet. No i nie doczekaliśmy się jego, nie przyjechał nikt. Widocznie za daleko było czy co, no i rozpacz. I co - nie ma co jeść, matka dowiedziała się, że może nas oddać do domu dziecka. Ja może ominę to?



**Rafał Pękała:** Nie, proszę powiedzieć. To była ciężka decyzja, mama musiała podjąć bardzo trudną decyzję.

**Mieczysław Kurek:** Proszę pana, prowadzi nas chyba czterdzieści-pięćdziesiąt kilometrów. Wie pan, nas tam zabrali, wzięli nas na ten statek. Nie wiem, ile płynęliśmy. Do Tomsku, to pamiętam. W Tomsku taki budynek murowany, kobiety rosyjskie nas witają - Zdrastwujcie, zdrastwujcie. Kak rebiata, choroszo u ciebia? nie będę mówił po rosyjsku, bo to... Przydzielają nas, parter. Nas było chyba czterdzieści parę osób, może więcej. Dzieciaków, Polaków.

**Rafał Pękała:** Wszystkie z tego kołchozu, tak?

**Mieczysław Kurek:** Nie, nie z tego kołchozu, a jeszcze innych. Podobno może pięćdziesiąt. Nie będę kłamał, bo nie pamiętam.

**Rafał Pękała:** Zebrali wszystkich?

**Mieczysław Kurek:** No nie pamiętam. No i tam spotkanie...

**Rafał Pękała:** W tym Tomsku pan był już bez mamy? Już bez mamy w Tomsku byliście?

**Mieczysław Kurek:** Bez, matka wróciła do kołchozu, ale wrócę do tego. Matka. No i, proszę pana, przydzielają każdemu łóżko, łóżeczko. Pościel czysta i jedzenie, znaczy od razu tam, żeby najeść się. I się okazuje, że na górze jest - oni nazywają: Dzieddom, oni lubią skróty, ruski, Rosjanie. Wyprzedzę trochę. Ten dom to był z Katynia, dom dziecka rosyjski z Katynia, z Koziej Góry, miejscowość, i te dzieciaki już później zaczęły, te ruskie opowiadać: Tam była dacza - jak oni nazywali - NKWD. Ja nie miałem pojęcia, co to jest Katyń, co to jest takiego. I mówi: Tam wsiach i ruskich, i nie ruskich, i Poliaków, mnogo razstielewali. Te dzieciaki, w naszym w wieku, może ciut młodszy. A mój brat pyta: A ty widieł? Widieł. A kto rostrielał? Bojcy - znaczy „żołnierze”. Ja przy tym nie byłem, tylko ja powtarzam.

**Rafał Pękała:** Bo to brat słyszał, tak?

**Mieczysław Kurek:** Tak, brat starszy. No i, proszę pana, w tym domu dziecka nie było źle tak. Po pewnym czasie, nie wiem, jaki to czas był, przyjeżdża - chyba to był Żydek, ale to nie o to chodzi, nie mam uprzedzeń do nikogo - i mówi: „Jestem - to chyba było po pół roku czy po jakim czasie, pamiętam to - jestem ze Związku Patriotów Polskich - pamiętam to - my będziemy o was dbali i my was stąd zabierzemy w ciepłe kraje”, takim językiem mówił, stąd tak mówię. To taki Jurek Grzywacz mówi: „A gdzie te ciepłe kraje są?”, a mówi: „Tu, niedaleko”. No i tak porozmawiał, porozmawiał, tam jeszcze coś mówił, i pojechał. I, proszę pana, a była w tym domu dziecka dyrektorem Anna Iwanowna Kosciuk, Ukrainka. Taki był życzliwy stosunek do dzieciaków, bo ta druga, to później... i była taka Tasia Czuwakowa, mam jej zdjęcie, tylko nie wziąłem ze sobą, to była druga moja matka, moja i mojej siostry, bo brata starszego zabrali do ludowego wojska, do wojenkomatu i poszedł do wojska, do Przemyśla go później skierowali, był w szkole w dęblińskiej.

**Rafał Pękała:** A po jakim czasie go zabrali? Ile był w tym domu dziecka?

**Mieczysław Kurek:** Krótko był, bardzo krótko, po wyjeździe tego patrioty ze Związku Patriotów. Bardzo krótko i jego zabrali, a nie tylko jego, kilku zabrali.

**Rafał Pękała:** Czym się kierowali? Wiekiem, tak?

**Mieczysław Kurek:** I skierowali do wojska, z tym że... czterech ich chyba, to dwóch zginęło od razu na froncie, bo skierowali ich do którejś tam dywizji, a brat że dostał się do lotnictwa, to latał jako pilot obserwator, strzelec, no to przeżył, a oni zginęli tam, nie wiem gdzie, czy nad Pilicą, czy gdzieś, zginęli ci [dwaj chłopcy]. I, proszę pana, po pewnym czasie w czterdziestym czwartym roku, było już po tym, Tasia Czuwakowa mówi: „Mieczysław, odjeżdżacie od nas. Szkoda, ja was bardzo lubię, ciebie i Lusię - moja siostra Lusia, nie żyje już, umarła - bo ja mam dwóch synów, mój mąż jest osiem lat, dostał administracyjnie, jest na Sachalinie, a ja pytam go: Mama, skazać szto? A prostali nas, to skazał mnie tak: Ustalinje co ci powiedział”. Ja mówię tak. No i, proszę pana, pojechaliśmy na Kubań w pobliże Krastodaru, to jechaliśmy pociągiem, w czterdziestym czwartym roku przez Stalingrad, w czterdziestym czwartym roku.

**Rafał Pękała:** Wszystkie polskie dzieci, czy tylko pan z siostrą? Kto pojechał?

**Mieczysław Kurek:** Wszystkie dzieci polskie. Przyjechała jakaś pani z panem...

**Rafał Pękała:** Polacy?

**Mieczysław Kurek:** ...jakiś tam dokumenty, coś tam sporządzali, tam rozliczali. Nie wiem tego, nie znam szczegółów, teraz... I pojechaliśmy tam do stacji kozackiej, bo tam stacje są kozackie, Afibskaja nazywała się. I tam umieścili nas w tym... to jest na trasie Kubań-Noworosyjsk. I tam już inny klimat, latem były już owoce, bo na Syberii nie ma owoców żadnych. Tam już było lepiej, już jedzenie było lepsze, można było [zjeść], niemniej tęsknota za krajem duża. Ja przyspieszę to, bo już na pewno zanudziłem.

**Rafał Pękała:** Nie, nie, proszę mówić po kolei, proszę mówić dokładnie, panie Mieczysławie.

**Mieczysław Kurek:** To, co pamiętam?

**Rafał Pękała:** Tak, to, co pan pamięta.

**Mieczysław Kurek:** I tam, proszę pana, chodziłem do szkoły, czterech nas chodziło do szkoły rosyjskiej.

**Rafał Pękała:** W tym Kubaniu, tak?

**Mieczysław Kurek:** Na Kubaniu, tak, do szkoły rosyjskiej, do klasy, zdaje się, piątej, to uczyli Polacy tam, nauczycielki Polki, [uczyły] języka polskiego, historii, a my chodziliśmy do szkoły rosyjskiej. Wszyscy czterej byliśmy w tej szkole atlichiki, dwóch Grzywaczy, Dziadczyk i ja, Kurek. Same mieliśmy piątki, atlichiki. Ja miałem jedną czwórkę z kreślenia,

bo u nich przedmiotem to jest kreślenie w szkole średniej też. I, proszę pana, po skończeniu tej siódmej klasy, ósmej u nich, postanowiliśmy we czterech uciekać do kraju. Skończyła się wojna, rozluźnienie, bo nie wiadomo, ten Związek Patriotów Polskich przyjeżdżał taki, mówił, że „Za rok, za dwa wszyscy wróćcie do kraju” Ja mówię: „To co będziemy czekać...” i w czterech zmówiliśmy się uciekać do kraju.

**Rafał Pękała:** Kto to był?

**Mieczysław Kurek:** Z tej Afibskiej. Dwóch Grzywaczy i ten Dziadczyk. Oni już nie żyją wszyscy. Proszę pana, a siostra moja zostaje w domu dziecka tam, w Afibskiej. Z matką nawiązaliśmy kontakt, bo matka już została wywieziona na Ukrainę, pisarewski rejon, z Syberii przeniesiona też do Ukrainy, do cieplejszego kraju. Też pracowała w kołchozie, ciężko chora już była. I my czterej zdecydowaliśmy się uciekać, nie mając żadnych dokumentów. Ubrania to takie jak w domu dziecka - mieliśmy takie sandały, takie typu ruskiego, tu mieliśmy takie ramienia, ale to nie o to chodzi. W Krasnodarze zatrzymują się pospieszne pociągi idące z Morza Czarnego, Soczi, Moskwa. I my postanowiliśmy, a tam pociągi, wagony wszystkie są zamknięte, wszystkie drzwi, w każdym jest konduktor, a tylko od pociągu każdego, to jest parowóz, towarowy, tiuremny, więzienny i osobowy, i pasażerski. Po wojnie tak, tak jak my jechaliśmy. I, proszę pana, myśmy zdecydowali, że będziemy wracali do kraju przez Rostów, Kijów i Lwów. Jak? Przecież się tam nie dostaniemy, a jest nas czterech. Wybraliśmy pociągi, które idą nocą. Na każdym stopniu, w każdym wagonie, z tyłu nieotwierany, trzymamy się we dwóch i jeden z nas nie śpi, żeby nie zasnął, cały czas stuka jego, bo ciemno jest, pociąg szybko jedzie i że uda nam się, nie zauważą nas konduktorzy i ci, co wchodzi, znaczy enkawudziści z tego tiuremnego. I, proszę pana, rano jest, przed Tichoreckiem - pan zapisze taką miejscowość, jest na mapie - Tichoreck. Drzwi się otwierają, patrzymy - czapa, znana nam czapa, czapka. Zabierajcie, no i nas prowadzi do wagonu tiuremnego, więziennego, a tam już jest, ja nie wiem, kilkanaście osób. Przed Tichoreckiem wysadzają wszystkich, wszystkich - i ci, co tam byli - tam już czekają inni strażnicy i nas prowadzą, gdzieś prowadzą, ale nie do miasta, tylko za miasto. Nie wiem, ile szliśmy, gdzieś tam dwa, może trzy kilometry, nie wiem. Niedaleko. Patrzymy - brama, więzienie. Ten Grzywacz Jurek był ode mnie starszy o rok, mówi do mnie: „Mietek...” - a postanowiliśmy, że w czasie podróży nie rozmawiamy po polsku, tylko w języku rosyjskim, a on do mnie po polsku mówi: „Mietek - powiedzcie to słowo czy nie? - kurwa, wpadliśmy”. Mówi: „Do domu dziecka nie wrócimy”. Ale wchodzimy tam - duża sala i ten Jurek Grzywacz odzywa się do tego, co nas przyprowadził, tego z tą słynną czapką: My Poliaki, my Poliaki. Proszę pana, cud chyba to się [zdarzył], tak musiało się stać. Wchodzimy na tę salę, dookoła siedzą ci zatrzymani. Jest jeden taki obrośnięty, siedzi jego taka dziewczyna, a ten zbój, co z nią siedział [mówi]: A, wy Poliaki? A ten Grzywacz mówi: Da. A kto wy? A Grzywacz mówi: Ja międzynarodny wor, a ten wstaje i krzyczy do wszystkich: Wstać! do wszystkich tam - nie chcą wstawać, bo tam widocznie różni byli. To wszyscy wstali, on podnosi rękę [i mówi]: Paczucie uważenie - za nas, jako międzynarodowych złodziei. Wie pan, on sam widocznie był jakiś taki, no ale to tak na marginesie to powiedziałem. Proszę pana, to było rano... pod obiad nas wzywają pojedynczo, a myśmy mieli świadectwa te szkolne, diesiatoletki - tej ruskiej. Te świadectwa daliśmy, wzywał pojedynczo każdego. Najpierw poszedł Bogdan, po jakimś czasie wychodzi, ale od razu jest zanim ten... Nie razgariwat, nie pozwalają, żeby nie kontaktować się. Później wchodzi Dziadczyk, ja wchodzę trzeci, a on mnie się tam wypytuje: A gdzie mat?, „A jak to było?”. Ja mu tam mówię to, to. W międzyczasie jest telefon - taki z taką trąbką, taki staroświecki. Zrywa się ten, to dwie szpaty miał, czyli podpułkownik, u nich takie prostokąty, ten enkawudzista jeszcze takie nosił, a już za jakieś trzy, czy to w czasie, ja już nie pamiętam dokładnie,

Tak toczna, tak toczna. Położył i zaraz wchodzi kobieta za nim, a on wyszedł - widocznie został wezwany tam przez kogo. No i ta kobieta z nami, a też w stopniu oficerskim, ta kobieta z nami rozmawia, i ta kobieta pozwala wezwać Jurka Grzywacza, i nas dwóch jest, bo tych... I ten Grzywacz do niej mówi tak: Wid wy, tożę mat? Zna pan to? I my tożę matierie, i choczem jechać w Polsce. A ona tak siedzi i siedzi. Widocznie coś tam przecisnęła. Wpada dyżurny tam [i mówi:] Wywiedi ich za worota - wyprowadzić. A ja się odzywam: Dajcie nam dokumenty. Nikakich dokumentow nie budie, no smatritie, szto by wy zdies apiat nie papali - żeby znów tutaj... No i, proszę pana, los tak chciał, że szczęśliwie dojechaliśmy do Kijowa.

**Rafał Pękała:** Tylko was dwóch, czy wszyscy?

**Mieczysław Kurek:** Nie, czterech, czterech. Dojechaliśmy do Kijowa. W Kijowie chyba też dobry los tak chciał, że szedł pusty transport sanitarny na zachód, chyba po żołnierzy radzieckich, tych, co w szpitalach leżeli, no i tam jechali chyba lekarze i te siostry. Myśmy ich tam prosili, błągali, pokazywali te świadectwa, że my to żadne chuligany, nie żulia, my nikomu niczewo nie worali. I też kobieta taka jest, też jakiś stopień - ona już pagony miała - no, ładna. W towarowy nas taki wsadziła: „Pojedziesz z nami”. Dała nam żołnierza jeszcze. I tak dojechaliśmy do Lwowa. We Lwowie myśmy myśleli, że jesteśmy w Polsce - a, rzeczywiście, język polski, dużo ludzi, ruch, gdzieś wyjeżdżają - a to wszystko repatrianci już ładowali się do transportu, też do wagonów towarowych, ale poszliśmy najpierw do kościoła, do spowiedzi, wszyscy czterej, i ksiądz powiedział nam wszystko. Ksiądz ten, taki starszy już, ucałował nas wszystkich, dał nam jakąś - Jurkowi dał - karteczkę, poszliśmy do PUR-u, był taki Państwowy Urząd Repatriacyjny, tam każdy z nas dostał taką długą bułkę chleba, bułkę taką. Zjedliśmy to od razu. I ten ksiądz powiedział nam, że mamy pójść na jakąś ulicę - tam do tego Jurka [powiedział] - tam się zgłosić i tam z nami będą rozmawiać. Myśmy tam poszli na tę ulicę - nie pamiętam, dłuższy czas pamiętałem - a tam była komisja polsko-ukraińska, repatriacyjna. Mnie dopisali do jakiejś rodziny, która jechała do Kołobrzegu, a Jurka Grzywacza i Bogdana, którzy jechali do Wałbrzycha czy do Wrocławia, dokładnie nie pamiętam, żeby się ich trzymać. I myśmy jeszcze przez trzy dni pomagali tym rodzinom wózkami ładować się, oni mieli dość dużo bagażu do Polski. I, proszę pana, dojechaliśmy tak. Ja do Przemyśla - w Przemyślu wysiadłem, bo w Przemyślu miał być mój brat, w wojsku, w lotnictwie, i się okazuje, że jego tam już nie było, był w Dęblinie. No i pojechałem do Dęblina.

[KONIEC NAGRANIA 01:03:16]